TYGODNIK POLSKI
THE POLISH WEEKLY

Vol. 2 Nr. 33 (85) Nowy Jork, 20 sierpnia — New York, 21, N. Y., August 20th, 1944 Cena 15 ct.

TRYUMF POLSKIEGO WOJSKA



Defilada wojsk polskich, brytyjskich i amerykańskich na Piazza Venezia w Rzymie z okazji dekoracji Generała Andersa amerykańskim orderem wojennym "Legion of Merit" 1 sierpnia.

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

JEST W POLSCE JEDNA DROGA

Jest w Polsce jedna droga, od lat wyjeżdżona;
Na wschód północny wiedzie, znana od stuleci,
Za mężem w noc porwanym płakała tam żona
I od matek oddarte ginęły tam dzieci.

Myśleliśmy — czas minął. Ziemia każdem latem
Z nad Niemna niosła czary i z łąk margarytki,
Któżby, śniąc nad Świtezią, zatrzymał się na tem,
Że kiedyś tędy mknęły na Sybir kibitki.

O poro złud okrutnych, żałosna rachubo,
Po której się to samo powtarza, to samo,
Że lata są wygnaniem, dzień każdy jest zgubą
A w nocy słychać salwy za więzienną bramą.

Co teraz nas ocali, z obczyzny sprowadzi,
I nad Niemen domowy, nad Świteż powróci,
Na jakie mamy słowo podnosić się, bladzi,
I na jakie rozbijać te mury, zakuci.

Ach, jest to słowo — słyszysz? — w ślad na nami leci
I wiarę nam umacnia nad wszelką zawiłość.
Jest w Polsce jedna droga, znana od stuleci,
Którędy wolność wraca z wszelkich wygnań. Miłość.

Jest w Polsce jedna droga, gdzie prędzej czy później
Z cierpień moc taka wyjdzie, że Boga zadziwi:
Powracają ojcowie, umarli podróżni,
Budzą synów — i walczą — polegli i żywi.

JÓZEF MIŁOBĘDZKI

DO BOGA

Dzisiaj, gdy wielkie już gasną pożary
Na zgliszczach moich siedmiu tłustych lat —
Dzięki Ci, Panie, za Twe hojne dary,
Z których wygodny budowałem świat.

Dzięki Ci, Panie, za Twe hojne dary,
Za słowo "miłość" i za słowo "Bóg",
Które nie dały mi utracić wiary,
Gdy słowo "bliźni" było słowem "wróg".
Lecz jeśli słowo "natchnienie" oznacza,
Że jesteś we mnie, gdy pieśń płynie z warg,
Boże, nie pozwól tej pieśni rozpaczać,
Gdy najstraszniejszą wypowięm ze skarg.

Nie to, że dom mój to popiół i zgliszcza,
Nie to, że kraj mój — to śmierć, głód i wiatr
— niech sił mi starczy na ostatni wystrzał,
A przecież będę wiedział, za com padł — ,

Ale o Boże, gdy w bój szły me dziady,
By moim ojcom lepszą przyszłość nieść,
Już pieśń tę grały nasze listopady
I stycznie wrześniom śpiewały tę pieśń!
Cóż nam ojcowie wywalczyli w boju?
I cóż my synom wywalczymy dziś?
O Boże wojny, bądź Bogiem pokoju!
Ześlij nam, ześlij, Wielką, Zbawczą myśl!

TRZY POLSKI

Pierwsza Polska — to była lekcja pełna nudy,
Gdy zapluty profesor o "wielkości" krzyczał.
Mieszczańskie uwielbienie rycerskiej obłudy
Usypiało mnie pieśnią stepów z Sienkiewicza.

Drugą Polskę odczuwam, gdy oczy zamykam:
Aromaty jaśminu w warszawskich ogrodach...
I łąki nadwiślańskie... ich letnia muzyka
Wieczorna ... i las w zimie. Było. Niema. Szkoda.

Pierwszej Polski nie chciałem — miłości na rozkaz,
Potrzeba mi jej było tylko na egzamin.
Druga była zbyt prosta — ludzka, a nie boska
Jak chleb z masłem. A dzisiaj śni mi się nocami...

Dziś dopiero ją widzę, dziś dopiero znam ją —
Tę trzecią, tę prawdziwą, tę jedną jedyną.
Piszą o niej i krzyczą. Kłamią, czy nie kłamią,
Nie wystarczy tu krzyczeć, nie chcąc za nią ginąć.

Lecz czasem mi coś mówi: — To ona, to ona!
Ściskam dłoń czyjąś twardą, czuję Polskę na niej
I widzę, jak przez prostych ludzi wywalczona,
Na wolnym świecie wolna trzecia Polska wstanie.

Szlachetna jak ta pierwsza, ale nie szlachecka
I prosta jak ta druga, ale nie prostacka,
Tak szlachetna, jak zła jest natura niemiecka
I tak prosta, jak podła jest dusza prusacka.

A kiedy już powstanie z poświęcenia ludu
Narodowa — pięknością, światowa — kulturą,
Po ostatniem zwycięstwie (zwycięstwie bez cudu)
Nową wojnę wywoła nauki z naturą.

O WISLE SREBRNEJ

Po wielkich pływam wodach, po morzach dalekich,
Ale czasem ich urok spływa jakoś po mnie —
Zakochałem się rzece, chciałbym wrócić do rzeki
Do rzeki, która płynie ku mnie falą wspomnień.

Wbiegam na cichą plażę tak, to Wisła płynie.
Ach, upaść tam i leżeć w srebrnym, ciepłym piasku
I ujrzeć całe życie na barwnym obrazku,
W falistych światłocieniach i szeptach w wiklinie,

Rozdmuchać lata zapach i w lato się wgarnąć —
Niech praży ciało słońcem i niech w rękach płonie,
A gdy uśnie na piasku — zanurzać weń dłonie
I sypać pełne garście naokół, jak ziarno.

A gdy noc już znad rzeki resztki słońca przegna
I welon mgły wieczornej przystroi ją pięknie —
Warszawa stanie za mną, nad Wisłą uklęknie
I wieżami kościołów polską wieś przeżegna.

Po wielkich pływam wodach i dumam, i myślę
Tęsknoty mej nie zmogą mórz dalekich czary.
Jak z lekcji kiedyś, z wojny móc iść na wagary.
I poddać się tej rzece.
I kochać się w Wiśle.

STANISŁAW STROŃSKI

EUROPA ŚRODKOWO WSCHODNIA

Któż nie pamięta, jak doskonałe wrażenie wywarła w końcu r. 1940 i nadal stale w Stanach Zjednoczonych Ameryki, a podobnie w Wielkiej Brytanji i w Krajach Imperjum Brytyjskiego, wiadomość o zamierzanym związku państwowym federacyjnym między Polską a Czechosłowacją jako zawiązku szerszego zgrupowania krajów położonch na wschód od Niemiec między Morzem Bałtyckiem a Adrjatykiem i Morzem Czarnem.

Dlaczego myśl tę tak dobrze przyjęto?

Niewątpliwie dlatego, że odpowiadała ona rzeczywistej i aż nadto udowodnionej potrzebie. Od wieków, Niemcy w swym Drang nach Osten, parciu na wschód, bardzo starannie dbali o ty, by móc napadać na każdego swego sąsiada wschodniego osobno i kolejno, a mierziły ich z tego powodu wszelkie związki między temi narodami i państwami. Wszystko robili by nie dopuścić do połączenia Polski i Czech za Bolesława Chrobrego, a podobnie za Jadwigi i Jagiełły przeciw unji Polski z Litwą uciekali się do wszelkich sposobów podstępni Krzyżacy i następnie starali się je rozbić nie sami tylko lecz wraz z cesarzem Zygmuntem Luksemburskim. Miarą wartości łączenia się sąsiadów wschodnich Niemiec pozostaje na zawsze Grunwald, który powstrzymał Drang nach Osten na trzysta pięćdziesiąt lat. Nigdy zaś i przez nikogo ten tryb napadów kolejnych na odosobnionego nie był tak dokładnie i tak niezawodnie stosowany jak przez Hitlera, który, zawsze uspokajając wszystkich innych, że ten napad, który właśnie przeprowadzał, jest już jedyny i ostatni, kolejno zagarnął Austrję, Czechosłowację, Kłajpedę kosztem Litwy, Polskę, Bałkany, a wreszcie uderzył i na Rosję, której bierność aż do tej chwili zapewnił sobie osobnym układem przed uderzeniem na Polskę. Może ktoś powie, że po tej wojnie Drang nach Osten już nigdy nie odżyje. Ale tak właśnie rozumowali lekkomyślni sąsiedzi wschodni Niemiec zawsze, a szczególnie po każdem ich rozgromieniu, i zawsze też doczekali się w rozbiciu nowego uderzenia.

Obecnie przeto, po tem nowem doświadczeniu smutnej kolejności rozprawiania się Niemiec z każdym sąsiadem w pojedynkę, nakaz trwałego związku sąsiadów Niemiec narzucał się dobitnie i zdawałoby się, niespornie, jako obowiązek państw Europy Środkowo Wschodniej wobec siebie samych i wobec Europy. W Polsce nigdy bodaj nie rozumiano lepiej, niż po tym olbrzymim wypadzie Niemiec na wschód w dwadzieścia lat zaledwie po ich klęsce w wojnie 1914-18, mądrość polityki założycieli Państwa pierwszych Piastów, Mieszka i Bolesława Chrobrego zbratanych z Czechami, oraz mądrości polityki krakowskich opiekunów Jadwigi, współtwórców wraz z Jagiełłą unji Polski z Litwą. I teraz z przełomu największego w dziejach Europy w jej walce przeciw przewadze Niemiec, wyłonić się powinna na wschodniej ich ścianie mocna zapora.

Rząd Polski już w pierwszej swej odezwie w Paryżu, 18go grudnia 1939, wysunął konieczność związku państw środkowo-wschodniej Europy. Następnie, w odezwie wspólnej polsko-czechosłowackiej w Londynie 11 listopada 1940 zapowiedziano federację Polski i Czechosłowacji; jako zawiązek szerszego zgrupowania. — Oba Rządy — oświadczono tam — już teraz są zdecydowane współpracować ściśle dla obrony swych wspólnych interesów i przygotowania przyszłego związku obu krajów. Przystąpiono też odrazu do współpracy w różnych dziedzinach i dnia 23 stycznia 1942 ogłoszono zarys przyszłego ustroju związku. Jeszcze w oświadczeniu wspólnem z 14 czerwca 1942 powiedziano:

"Jakkolwiek oba Rządy Polski i Czechosłowacji przywiązują jak największe znaczenie do ogólnej międzynarodowej organizacji wszystkich demokratycznych narodów, to jednak uważają za pierwszorzędny i podstawowy cel swej polityki zagranicznej w czasie wojny i po wojnie Konfederację Polski i Czechosłowacji; ta Konfederacja, zdaniem obu Rządów, powinna stanowić podstawę regjonalnej organizacji tej części Europy, z którą są związane żywotne interesy obu krajów."

Następnie jednak jak nożem uciął. Kierownicy polityki czechosłowackiej w Londynie, nie bacząc ani na zobowiązanie wspólnego działania z odezwy 11 listopada 1941, ani na stwierdzenie, w oświadczeniu z czerwca 1942 że podstawą ma być związek Polski z Czechosłowacją, zaniechali wszelkich porozumiewań się z Rządem Polskim i zawarli podstawowy układ o przyszłej współpracy z Rosją Sowiecką 12 grudnia 1943 w Moskwie, dokąd udał się w tym celu p. Benesz. Na tym torze przeto sprawa utknęła.

Czy to jednak znaczy, że przekonanie o konieczności związku wschodnich sąsiadów Niemiec, tak powszechne bezpośrednio po nauce ich najazdów, było mylne.

Chyba nie.

Znaczy to tylko, że polityka często, jak w tym wypadku czechosłowacka, na pstrym koniu jeździ.

Ale potrzeba wału ochronnego na pograniczu wschodniem Niemiec, od Bałtyku do Adrjatyku i Morza Czarnego, pozostaje, w świetle doświadczeń przez wieki niezmiennych, oczywista i krzycząca o jakieś wreszcie porozumienie i współdziałanie sąsiadów Niemiec dotychczas gromionych zosobna i kolejno. Ta sprawa musi wypłynąć wśród załatwień powojennych. A Polska czekając na to, nie porzuci ani myśli zdrowej ani starań o jej urzeczywistnienie.

W POPRZEDNIM 32 (84) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Kazimierz Wierzyński: Teby; Tadeusz K. Sowicki: Monte Cassino; Juljusz Słowacki: Ofiarowanie; Bolesław Zubrzycki: Nie będzie w tym roku Zjazdu we Lwowie; Stanisław Stroński: 1815 — 1919 — 1945; Armja Podziemna walczy o Warszawę; Jan Lechoń: Bal u senatora; Ludwik Brzeski: Trzej przyjaciele; Marta Wańkowiczówna; Póki my żyjemy; Opinje i zdarzenia.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

ALEKSANDER JANTA

RĘCE

Nie wystarcza zobaczenie twarzy nowego człowieka. Patrzę tak samo uważnie na ręce. Bywają wymowniejsze nieraz, niż wyraz oczu, niż linja profilu, niż usta Cóż nam po ludziach mających twarze aniołów, a ręce płaza, miękkie i rozlazłe? Albo uśmiech dobrotliwy i łagodny, a w rękach wyraz drapieżny, zły, nieprzyjacielski? Inni pospolici na oko i nieciekawi, jeżeli sądzić z samej tylko twarzy, zdradzają szlachetność serca i delikatność uczuć rysunkiem i formą rąk.

Do nich należał porucznik Marcin Wolski, którego poznałem w obozie bretońskim, krótko po Wrześniu. Zjeżdżali się już we Francji pierwsi żołnierze Polski walczącej, przybywali po cywilnemu, po przekroczeniu wielu granic, każdy jeszcze trawiący we wnętrzu nieznośne przeżycia klęski, nieszczęścia i lęku o los najbliższch.

W kasynie Coetquidan rojno było jak w ulu. Codzień po służbie tu się zbierały nowe twarze. W zadymionem wnętrzu siedzieli przy kawie, przy winie i omawiali pilnie tę najważniejszą sprawę utraconej dopiero ojczyzny. Tego wieczora przy stoliku, przy którym siedziałem, nie było już miejsca. Przyjaciele grali w bridża, przy każdym partnerze siedział w dodatku kibic, kilku stało za nimi, przyglądając się z zajęciem rozgrywce.

Rozejrzałem się po sali; jedno jest miejsce wolne przy małym stoliku w kącie. Stolik zajęty był przez któregoś z nowo przybyłych oficerów, jeszcze po cywilnemu. Przysiadłem się, zamówiwszy cinzano a l'eau. Tyle, żeby posiedzieć chwilę w kasynie, dowiedzieć się co nowego, posłuchać ostatnich wiadomości przez chrypiące radjo. "Pan pozwoli?" zapytałem grzecznie. Kiwnął głową. Ale kiedy podałem mu rękę, mówiąc swoje nazwisko przedstawił mi się sztywno i bardzo formalnie: "porucznik Marcin Wolski". A teraz siedzi naprzeciwko, nic nie mówiąc i długo miesza łyżeczką w kawie. Patrzy przed siebie w próżnię. Pogrążony w jakichś wspomnieniach, w przeszłości. Nie znalazł w nowem otoczeniu nic jeszcze, coby ją mogło rozwiać, czy choćby odsunąć.

Zagadałem go jakiemś błahem pytaniem, odburknął krótko "nie wiem", rozmowa nie zdążyła się nawiązać, a już ją uciął. Twarz miał nieciekawą, banalną, o drobnych ale tępo zaznaczonych rysach, z dołkami w policzkach. Nie wyglądał przystojnie, ani miło. Przebijała z tej twarzy nieufna trochę obojętność, ale także przygaszenie, chowający się za powiekami wzrok, bardzo blade, zaciśnięte usta.

I właśnie miałem pomyśleć, czy nie nieśmiałość przypadkiem jest przyczyną zacięcia i nawet oschłości, jaką odrazu wyczułem w jego stosunku do mnie, kiedy nagle cała uwaga skupiła się na jego rękach. Rzadko kiedy widziałem tak piękne ręce. Jedną położył właśnie na stół, drugą, skończywszy mieszać kawę, chwycił za filiżankę i podniósł do ust. Śledziłem poruszenia tych rąk. Były nietylko piękne w rysunku paznogci, w kształcie palcy i proporcjach dłoni, w cieńkości przegubu i ciepłym tonie skóry, ale z nich właśnie zdawał się promieniować ten styl człowieczeństwa, ten charakter, którego napróżno szukałem w wyrazie jego nieregularnych rysów. Były to ręce intelektualisty, człowieka subtelnego, istoty czułej i myślącej. Te ręce mogłyby rzeźbić lub grać na harfie. Czy jest artystą? Chirurg i skrzypek mają nieraz podobne, o nerwowej chwytności, o precyzyjnem rozczłonkowaniu każdego stawu,, ręce doskonale odprężone. To odprężenie rąk było w sprzeczności z napięciem, z grymasem nieledwie jaki układała się jego twarz. Stanowiło sygnał problemu, jaki w nim istniał. Ale jak się do niego dobrać?

Natarczywe moje patrzenie musiało zwrócić jego uwagę. Nieznacznie cofnął ręce, schował je, zwinąwszy dłonie, za filiżankę, potem opuścił za stołem. Najwyraźniej uciekały przed moim wzrokiem.

o o o

Minęło kilka tygodni. Porucznik Marcin Wolski, już teraz w mundurze i razem ze mną na kursie dla oficerów, potwierdził pierwsze wrażenie małomównego mruka, istoty nietowarzyskiej i może dlatego nielubianej właściwie między kolegami. Ale nadal intrygował mnie i pobudzał nierozwiązaną dotąd zagadką tych jego wyjątkowych rąk człowieka wysokiej rasy.

Spotkałem go przypadkiem w Paryżu, w ciągu paru dni urlopu po kursie. W mojem studjo, urządzonem jeszcze przed wojną, był radjogramofon z automatem na dwadzieścia płyt. Był pozatem duży koncertowy fortepian. Nie wiem co mnie tknęło, aby porucznika Wolskiego, który Paryża nie znał, zaprosić.

Może to, że nie mówił po francusku? Może świadomość, że się czuć musiał bardzo zgubiony w nowem dla niego mieście? Może fakt że chciałem przeniknąć jego tajemniczą małomówność i odgadnąć kim jest i co przeżył?

Przyszedł. Nastawiłem szereg płyt na gramofonie. Był trochę nieswoj, zakłopotany, chowający wzrok i ręce. Dopiero muzyka wyzwoliła w nim pewne odprężenie. Reagował na nią, jak człowiek głęboko muzykalny, nietylko skupieniem samem, ale nieledwie wrażliwością skóry, zmysłem dotyku i smaku w tym samym stopniu, co słuchem. Tak jak niejednym ludziom alkohol rozwiązuje języki, jak wyzwala z nich prawdę, na porucznika Wolskiego tak samo zdała się działać muzyka.

Ale kiedy zapytałem go, już oswojonego ze mną i rozmownego na pozór, czy gra na fortepianie, spojrzał na mnie dziwnemi oczami. Było w nich zaskoczenie człowieka przyłapanego na gorącym uczynku popełniania rzeczy wstydliwej, nieprzyznawanej.

— Nie, nie gram — powiedział szybko i cofnął się temi słowy w dawną nieśmiałość i w zakłopotanie.

Nie miałem pewności, czy mówi prawdę. Zwłaszcza, żem go przyłapał na przyglądaniu się fortepianowi, jak gdyby go korciła ta obecność instrumentu u mnie. Ale nie będę go przecież namawiał do przyznania się, jeżeli nie chce.

Pomyślałem jeszcze, że pewno muzyka była dla niego pretekstem bardziej niż celem w życiu i że dlatego odsuwa się od niej, wobec ważniejszych trosk, myśli i tęsknot, jako na rzecz będące tylko namiastką pociech, nie ich wypełnieniem.

Rozmawialiśmy już znowu o wrześniu. o kursie, o ludziach wspólnie spotkanych, zawsze na tle muzyki nie dość ważnej w tej chwili, aby słuchaniu jej wyłącznie się poświęcić. To co opowiadał zdradzało bystre spojrzenie, zdolność obserwacji i pamięci, ale tyczyło wszystkiego razem spostrzeżeń właściwie błahych.

Radjogramofon znowu zmienił płytę. Rozległy się dźwięki fortepiano — nagranie Ravelowskiej suity Gaspard de la Nuit, muzycznego poematu o modernistycznej ekspresji. Wolski przestał mówić, zaczął uważnie słuchać. Znałem dobrze przenikliwy smutek tego bemolu, koło którego, jak koło spadającej kropli Ravel snuje tę niesamowitość, jakiej dał tytuł "Le Gibet" — Szubienica. Zaświatowa melancholja brzmi z fortepianu tonem życia, które ucieka.— Beznadziejność szerzy się i obezwładnia. To jest nastrój ginącego świata, wyroku, który się spełnia i rozpaczy, kapiącej powtarzaniem się w tym sa-

mym spaźmie rytmicznym nuty nieszczęścia i lęku.

Pod jej wpływem rozmowa zamarła. Spojrzałem nieznacznie na Wolskiego. Twarz miał znowu napiętą, przejmująco [illegible] i dziwną. Schował za siebie ręce.

— Co panu jest? — spytałem odruchowo, żałując zaraz tego pytania, bo mi się zdało szczytem niedyskrecji.

Poderwało Wolskiego. Czuł dobrze, do czego zmierzam, tak jak ja czułem, dzięki jego reakcji nagłej a nieprzyjaznej, że dotknąłem niechcący sedna.

— Zauważył je pan zaraz tego pierwszego dnia w obozie. Patrzał pan na nie. Nie mogłem tego znieść. Czego pan chce ode mnie?

Brzmiało to równie o[illegible] jak gdyby wyznał poprostu: Znienawidziłem pana

— Ależ ma pan bardzo piękne ręce — powiedziałem ,chcąc się usprawiedliwić.

— Nie, nie. — zawołał Wolski.— Niech pan tego nie mówi. To brzmi bez sensu. Pan nie wie....

Doprawdy nie bardzo wiedziałem, o co mu idzie. Ale było już jasne, że właśnie napięcie tego problemu, który przeczułem, zaczyna nabierać kształtu. Że dozna wyładowania. Byle chciał mówić Wolski Może powie?

Zmienił ton. Walczył ze sobą, próbował się opanować. Istniały w tym człowieku jakieś niewyżyte wrażliwości, wytwarzały to wrażenie niejasności, tę aurę zagadki, jaką się otoczył i zamknął w sobie

Płyta dobiegła do końca. Powiedział wtedy miękko, przepraszająco: "niech pan to, proszę, powtórzy. To bardzo przejmująca muzyka. Także to grałem kiedyś, nie rozumiając zupełnie co gram i co to znaczy. To się nazywa "Szubienica" prawda?"

Dopiero teraz się zdradził, że jest artystą.

— Ale co z temi pańskiemi rękami? — powiedziałem szybko i nieostrożnie, nastawiając automat na powtarzanie płyty. Zanim przebrzmiały te słowa, zrodziła się nowa wątpliwość. Czy aby we wrześniu w Polsce nie uszkodził sobie którejś z tych rąk? Jakieś nieznaczne kalectwo, ścięgno, nerw, mięsień, bezwład niedostrzegalny, który sprawia, że już grać nie może.

A w takim razie cała moja rozmowa i to zwracanie uwagi na jego ręce jest jednym wielkim nietaktem. Kto wie, ile mu to dokucza? Zrobiło mi się Wolskiego żal. Po co było nalegać na tę bolesną sprawę urody rąk, które go może zdradziły? "Szubienica" Ravela znowu zabrzmiała z głośnika głęboką, monotonną nutą ostateczności. Wolski był coraz bardziej poruszony. Przełamywał w sobie z wysiłkiem jakieś krańcowe opory. Wyciągnął przed siebie ręce i patrzał na nie, jak na obcy, nienawistny przedmiot. Wydawało się, że trudno mu znieść tem widok. Powiedział, — spojrzawszy na mnie i wysuwając je naprzód: "to te ręce!"

Jeszcze nie sposób było zorjentować się do czego zmierza Al[illegible] już nie wątpiłem, że stoję u progu jego wyznania.

— To te ręce — powtórzyłem wolni, naśladując jego brzmienie głosu, żeby nie zerwać nastroju. Cofnął je. I odrazu zaczął. Płyta dobiegła końca, automat położył igłę na tę samą znowu, od początku.

— Wierzyłem w nie — powiedział. — Fortepian, pan się domyśla.. Skończyłem konserwatorjum. Niby wielka przyszłość. Wielkie nadzieje...

Mówił skrótami ciągle, ale łatwo

— Potem wojna. Oficer rezerwy. już było można zrozumieć, co opowiadał. Właściwie straszny wstrząs. Nie było wyboru. Mus. Nie nasza wina. O wszystkiem trzeba było zapomnieć. Wszystkiego się wyrzec. Kompanja piechoty. Marsze. Bitwa.. Za dnia bitwa, nocą marsze. Lęk.. Brud.. Zmęczenie.. Bomby.. Tyle śmierci wokoło. Tyle zniszczenia. Tyle krwi. I tak od Śląska po Łódź. I już wiadomo, że ... że koniec.

Odetchnął głęboko. — Że koniec— powtórzył, jakby to już było wszystko, co chciał powiedzieć. Urwał.

Czekałem, aż znowu zacznie.

— Potem ucieczka. Złapali nas. [illegible]m jeszcze mundur, już bez odznak. Zamknęli w kościele. Tłum jeńców....

Zawahał się. oprawił się: — Tłum skazańców.

I dorzucił uzupełniająco:

— Bo słyszał jeden z naszych, co mówią Niemcy. Że wszyscy na rozstrzelanie o świcie. Jak uciec? Drzwi kościoła były wyrwane od wybuchu. Ale wyjścia tego pilnował żołnierz. Zmieniano straż co godzinę. Noc ciemna. Z karabinem zagradzał drogę w tę noc. W kościele wszyscy pokotem. Pierwszy nocny sen po tylu tygodniach. Wiedziałem tylko ja i dwóch innych, że trzeba uciec. Reszta spała.. Nie można się ich było dobudzić..

Znowu nabrał oddechu. Pochylił głowę. Po raz czwarty ta sama płyta na gramofonie.

— Żadnej broni. Tylko te ręce. [illegible]pełzałem długo, ostrożnie. I potem skok.

[illegible]eżywał opowiadanie, jak powtórzenie owego wysiłku. Trzymał przed sobą ręce napięte, naprężone w powietrzu jakim strasznym uściskiem. Na czoło wystąpiły mu drobne kropelki potu. Wzrok uciekł w tamtą noc.

— Walka była długa. Ach, czuć naciskiem rąk własnych jak pulsuje to cudze życie. Jak się broni. I zaciskać ręce. I zaciskać....

Zaciskał je w powietrzu. Z twarzą, na której odbijała się dotąd wizja tego, co wówczas uczynił.

Spojrzał na mnie. — Cz pan to rozumie? Tchawica, krtań, żyły, tętnice, mięśnie. I te ręce. I temi rękami dusić to, miażdżyć, przciskać do kręgosłupa, do karku. I te dwa kciuki wciśnięte pod szczękę głęboko. I krótkie dmuchnięcie oddechu przez nos. I bulgotanie śliny. I chrapanie dzikiego zwierza. I charkot w gardle. To trwa sekundy tylko, to idzie wszystko prędko, nagle, w straszliwem skłębieniu sił, lęku, walki. Walka życia ze śmiercią. Moje ręce to była śmierć. Jego szyja to było życie.

I ta śmierć zdusiła tamto życie.

Wyciągnął znowu ręce, jakby chcąc je pokazać na dowód. Starałem się patrzeć trzeźwo i bez przejęcia, ale trudno było nie przejąć się tem, co mówił I tem jak opowiadał.

— Gdybyż to można zopomnieć.. Niestety. Wraca wszystko wspomnieniem nie myśli, nie rozumu, ale rąk. Czuciem tej szyi i zaciśniętych na niej palców i ich wysiłku, największego w życiu. Takiego wysiłku, że już nic więcej temi rękami nie można zrobić. I już nic innego

Przemknął mi teraz przez głowę podziw dla tego wyczynu. Jak to więc tymi rękami potrafił naprawdę udusić. Cóż za sportowe osiągnięcie! I jaka musi być siła ich uchwytu, jaki upór w tych sprężystych palcach, aby tego dokazać i dopiąć. Stłumiłem w sobie tę myśl, miała posmak bluźnierstwa. Bo Wolski trzymał jeszcze przed sobą ręce rozczapierzone a od[illegible]nięte, jakby w obawie powtórzenia nacisku, który był gestem śmierci.

Na gramofonie końca dobiegła płyta z "Szubienicą". I znowu ją powtarza od początku. Nabiera teraz przeraźliwej głębi. Całe jej znaczenie przepojone [illegible] treścią opowiadania Wolskiego. Pulsowała nietylko w muzyce, ale wszerz, przez wnętrze mego studja Promieniowała z czubków jego palcy.

— Byłoby to nieważne — zaczął znów Wolski, oddychając jak po wielkiem zmęczeniu. — Wojna jest wojną. Gdyby nie pamięć rąk. Wszystko w nich jeszcze żyje, cała okropność śmierci. Drganie mięśni, puls, oddech i ten ostatni spazm — każda sekunda trwania I cóż ja z tym teraz zrobię? Przecież nie mogę się pozbyć rąk, i nie mogę ich zmienić.

Żałosna bezradność przebijała z tych słów, budziła litość. Nie mówił do mnie, nie opowiadał, wyrzucał tylko ze siebie jakieś dławiące refleksje.

— Umieranie musi być rzeczą straszną.

Nie było ciszy między rwanemi słowami, wiązało je brzmienie muzyki z mahoniowej skrzni gramofonu, ciągle tej samej.

— Przymuszanie człowieka do śmierci jest okropniejsze, niż śmierć. I to gołemi rękami. Gołemi rękami.. Pomyśl pan: w dwudziestym wieku.

I nagle znowu do mnie: — Nie chciałem tego. Czy mi pan uwierzy, nie chciałem.

— Rozumiem — powiedziałem..

— Ale teraz już nie ma odwrotu. Po tem co się tam stało, nie mógłbym grać. Pulsuje w nich cudze życie, zduszone takim chwytem. Pokazał ten chwyt. Jeszcze jeden grymas napięcia w twarzy. Potem zupełne odprężenie i długa chwila muzyki. Bemol, oktawami bijący głucho w bębenki ucha. Życie, które ucieka.

— Wojna nie jest skończona — powiedział bardzo spokojnie. — Zaprzęgli do niej te ręce. Teraz te ręce służą już tylko wojnie....

Podszedł do gramofonu i sam zatrzymał płytę w połowie.

— Muszę już iść — powiedział Pożegnał się i wyszedł. Ufałem, że doznał ulgi.

o o o

W kilka miesięcy potem byłem z dywizję na froncie. Powiedziano mi, że w drugim pułku piechoty służy porucznik Wolski, ten z kursu w Coetquidan. Nie spotkaliśmy się od czasu jego wizyty u mnie. Byłem przy tem, o jednym z gorszych dni bitwy, kiedy dowódca pułku mówił o nim generałowi: to doskonały oficer. Brawurowo prowadził przeciwnatarcie.— Przedstawiam do odznaczenia.

Tego dnia przeglądałem listę ciężko rannych. Przy nazwisku Wolskiego ktoś dopisał ołówkiem na formularzu “Obie ręce urwane granatem”.

CZESŁAW ROSIŃSKI

MODLITWA NA GOLGOCIE

Otom jest, Panie — żołnierz Chrystusowy,
Co się do Ciebie codzień modli szczerze,
Zawsze do ofiar najcięższych gotowy,
Bo się w WOLNOŚCI rozkochał i w WIERZE.

Przecżże mi, Panie, nie szczędzisz Swych gromów,
Jarzmem niewoli i klęskami gnieciesz,
Przecżże wypędzasz mnie z mojego domu
I każesz tułać się po obcym świecie?......

Zali tak wiele było we mnie złości,
Zali tak wielkie moje przewinienia,
Że już nie doznać mi Twojej litości,
Ani wybłagać Twego przebaczenia?

Łuną oślepion, płonących chat dymem,
Potem unurzan w niewolniczym błocie —
Zmęczonym tutaj przybyłem pielgrzymem
Na Syna Twego modlić się Golgocie.

W prochu się kajam przed Twoim ołtarzem,
Ty widzisz, Panie, rozpacz mą i mękę —
Jakąż pokutą winy moje zmażę,
Kiedyż powściągniesz karżącą Swą rękę?...

Ja się nie skarżę — jam żołnierz, jam Polak,
Ja swoje winy i znam i rozumiem —
Codzień powtarzam “Święć się Twoja wola”...
I cierpieć umiem i krzyż swój nieść umiem...

Tylko mi nie bądź Sędzią przy konaniu,
A miłosiernym Ojcem bądź mi raczej —
Nie dopuść, abym zginął na wygnaniu,
Lecz spraw, bym jeszcze raz swój Kraj zobaczył.

Dozwól, bym wrócił, choć skrwawion, choć goły
Kaleki — jeśli taka Twoja wola.
Bym Twoje z gruzów podźwignął kościoły,
Bym obsiał ziarnem krwią nawilgłe pola...

Daruj mi, Panie jedną polską wiosnę,
Daj oczy napaść kwiatami polskimi,
Potem niech umrę — a umrę radosny —
Bo jako włodarz na Ojczystej ziemi...

Ty znasz mnie, Panie, patrzysz w moją duszę,
Wiesz, że tam pójdę, gdzie rozkazy rzucą.
Zginę, bez skargi — tam, gdzie zginąć muszę,
Lecz spraw, niech wtedy chociaż inni wrócą!...

I niech powiedzą mej Matce zbolałej,
Że wróg mnie zabił, lecz nie umiał złamać,
Żem za najświętsze walczył ideały,
Że Niebios dla mnie otwarta jest brama.

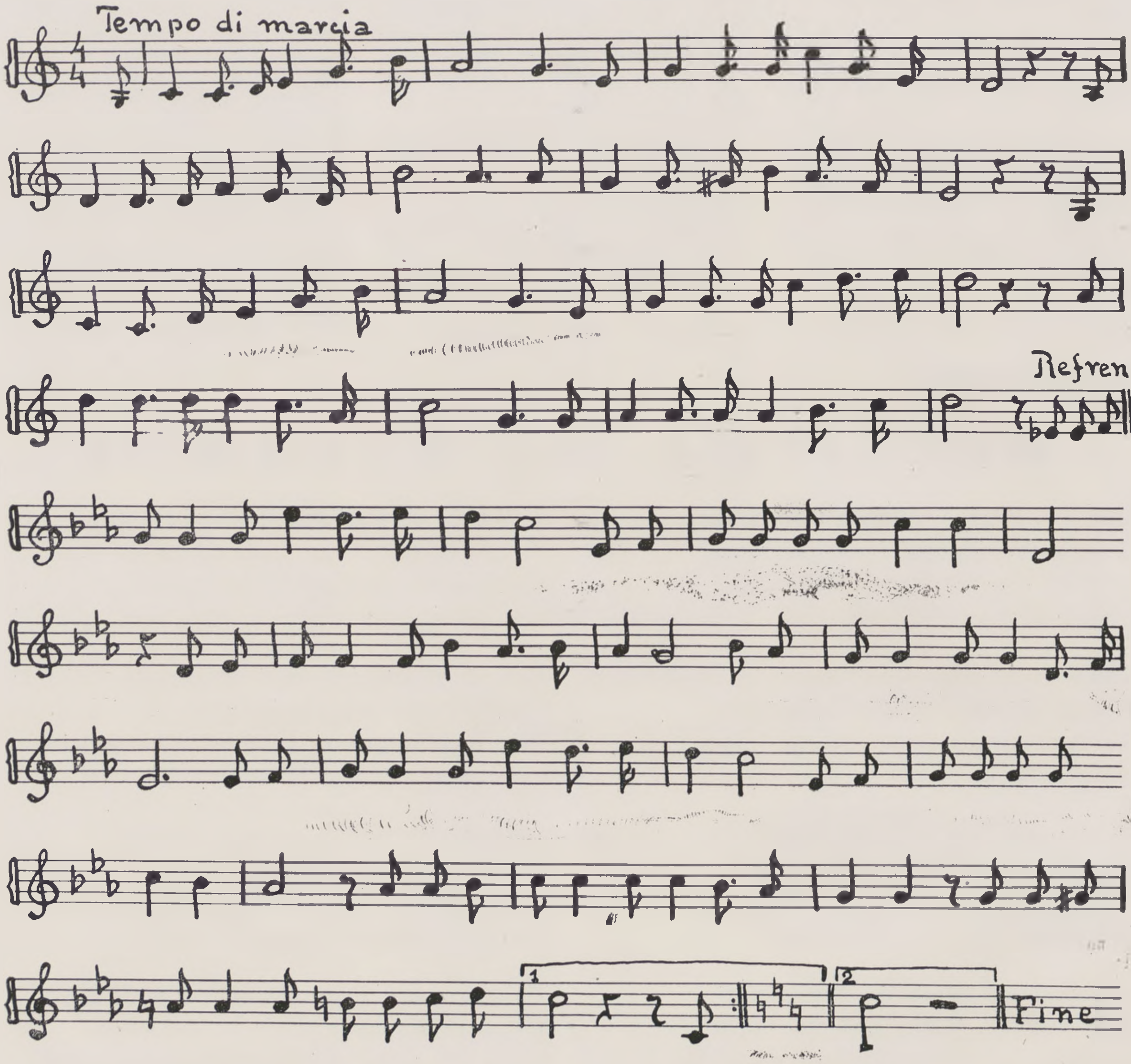
Wiem, że staruszce ten raport wystarczy,
Że dźwignie w górę swoją siwą głowę,
Dumna, że syn jej powrócił na tarczy,
Że poległ mężnie rycerz Chrystusowy...

Ziemia Święta, 8.XI.1943 r.

CZERWONE MAKI NA MONTE CASSINO

Słowa: FELIKS KONARSKI - REFREN

Muzyka: ALFRED SCHUTZ



Czy widzisz te gruzy na szczycie!
Tam wróg twój się kryje jak szczur!
Za kark wziąć i strącić go z chmur!
Musicie! Musicie! Musicie...
I poszli — szaleni, zażarci
I poszli zabijać i mścić!
I poszli — jak zawsze uparci....
Jak zawsze — za honor się bić!

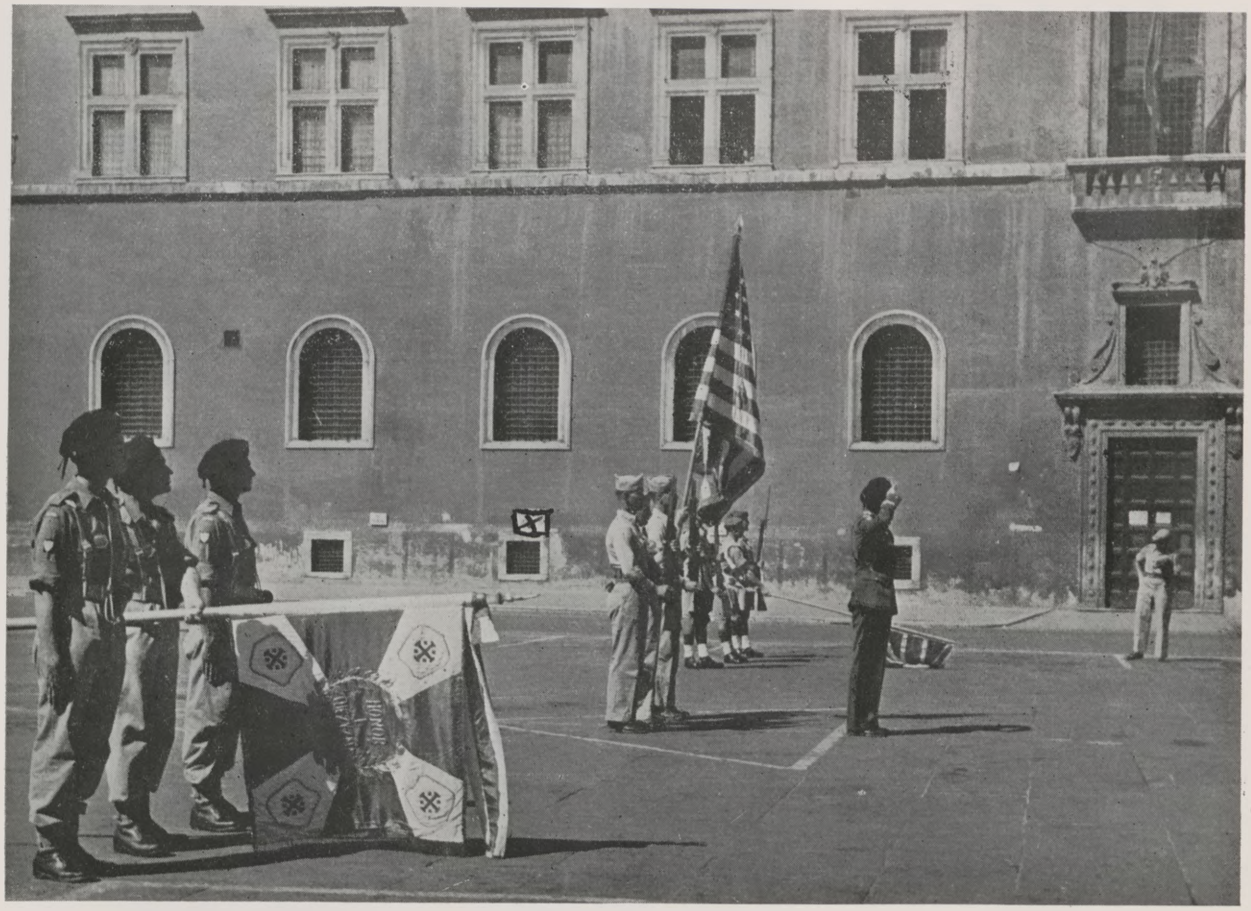
Czerwone maki na Monte Cassino,
Zamiat rosy piły polską krew....
Po tych makach szedł żołnierz i ginął,
Lecz od śmierci silniejszy był gniew!!

Przejdą lata i wieki przeminą,
Pozostaną ślady dawnych dni
I wszystkie maki na Monte Cassino
Czerwieńsze będą, bo z polskiej wzrosną krwi!

Runęli przez ogień straceńcy...
Niejeden z nich dostał i padł....
Jak ci z Samosierry — szaleńcy,
Jak ci — spod Rokitny — sprzed lat!
Runęli impetem szalonym
I doszli.... I udał się szturm!....
I sztandar swój biało-czerwony
Zatknęli na gruzach wśród chmur.
Czerwone maki na Monte Cassino itd.

Czy widzisz ten rząd białych krzyży!
To Polak z honorem brał ślub!
Idź naprzód.... Im dalej.... Im wyżej....
Tym więcej ich znajdziesz u stóp!
Ta ziemia do Polski należy,
Choć Polska daleko jest stąd........
Bo wolność krzyżami się mierzy....
Historja ten jeden ma błąd...

Czerwone maki na Monte Cassino itd.



Dekoracja Generała Andersa amerykańskim orderem "Legion of Merit" na Piazza Venezia w Rzymie 1 sierpnia

Piosenka, którą wszyscy będziemy śpiewać

"Tygodnik Polski" jest szczęśliwy, że pierwszy w Ameryce może podać swym czytelnikom nuty i słowa nowej piosenki, którą spiewa teraz cały Drugi Korpus, który śpiewać będzie całe wojsko polskie, którą śpiewać będziemy wszyscy. Jest to piosenka urodzona w bitwie, piosenka mówiąca poprostu co czują wszyscy, przeznaczona do chóralnego śpiewu, piosenka, która jest tem dla naszego dzisiaj — czem dla wczoraj był "Rozmaryn", czem dla Francuzów w poprzedniej wojnie była "Madelon", a dla Anglików "Tipperary". Jest ona bohaterska — jak bohaterskie jest nasze wojsko, jest pełna jak ono wiary. Zapamiętajmy sobie nazwiska jej twórców — Autora słów Feliksa Konarskiego i muzyki — Alfreda Schutza. Grajmy ją na naszych uroczystościach i śpiewajmy ją wszyscy.

JERZY BAZAREWSKI

JUTRO BĘDZIE ANKONA

W nocy do postrzelanych, nadwyrężonych czołgów, podjeżdżają "czołówki" naprawcze. Również nocami dojeżdża do czołgów zaopatrzenie: amunicja, materjały pędne, żywność. Ponadto, amunicję bardzo często podwożą. Noce są ostatnio ciemne, drogi pokryte kurzem, Niemcy doprowadzeni do najwyższej wściekłości, w takie noce szukają moździerzami i artylerją "czołówek i zaopatrzenia. Najczęściej strzelają po brodach górskich rzeczek. Liczą na powolny ruch kolumny. Wiedzą, że jeli się trafi w jeden wóz z amunicją, wszystkie następne djabli wezmą. Ale jakoś nam idzie.

Nasza artylerja coraz to zamyka buzię jakiejś niemieckiej baterji, samoloty pomagają artylerji, wozy z amunicją docierają do miejsc przeznaczenia.

Można powiedzieć zupełnie bez przesady, że nad Adrjatykiem rozpętało się nowe Cassino. Drogi pogrodzone przepastnemi lejami, domy poznaczone smutnemi dziurami od pocisków, popalone stogi chłopskiego z trudem zebranego na góskich łąkach siana, bezdomne dzieci na drogach, wieczorami, po nawałach i bombardowaniach artyleryjskich ludność ukazuje się oczom zmęczonych bitwą żołnierzy, w stanie nad wyraz żałosnym. Wloką się zszokowani starcy i płaczące kobiety, wiatr niesie od takiej karawany wszystkich zapachami wojny. Ludzie idą do swoich rozbitych domów. Aby usiąść na przyzbach i dalej płakać.

Patrzałem wczoraj na zachodzące słońce. Nasi stali tuż przed Ankoną. Słońce czerwieniało krwawo małym rąbkiem. Drogami pędzili na białych od kurzu drogach ludzie trochę podobni do młynarzy, trochę do widm. Jak trudno spotkać tutaj żołnierza o normalnym kolorze twarzy. Obawiam się, że jeśli się wojna wbrew moim przypuszczeniom kiedyś się skończy, żołnierze II Korpusu Polskiego, nie potrafią odmyć twarzy tak dalece, aby uzyskać właściwy kolor. Zresztą, nie wiem.

Słońce kryje się za wyłamany węgieł domu zaczynającego się miasteczka. Przypadkowy mój towarzysz nie bez słuszności mówi sentencjonalnie: "Słońce zaszło dziś krwawo..." To słońce, o dwunastej bardzo paliło i wszystko widziało. Kiedy czołgi polskie wdzierały się do ulicy za której pierwszym rogiem chowa się czerwony rąbek, w domu — teraz rozbitym — siedzieli Niemcy. W sadzie, wokół domu — również. W piwnicy też. W bunkrach przed bramą — tak samo. Czekali z działkami pancernymi, z karabinami maszynowemi, z miotaczami ognia. Widziałem ich przed godziną. Jednych jako jeńców, innych z nieruchomo rozkraczonemi nogami, w tych bunkrach, z miotaczami płomieni w rękach. Czołgi strzelały do utraty tchu. Załoga omdlewała od gozów i gorąca. Była to już druga serja isków. **Każdy czołg,** mimo że zaopatrzenie na różnych brodach bardzo często znajduje się pod ogniem — dostaje tyle pocisków, ile potrafi wystrzelić... I dlatego pociski zasypały rupę jak wiosennym deszczem. Potem poszły serje na miotacze ognia i sad. Podniosły się pierwsze niemieckie ręce, ...zza tych rąk poszła jednak serja na Polaków. Cóż było robić. Walka trwała dalej..

Teraz.. ten rąbek słońca i jakieś płaczące dzieci w cieniu napół rozbitej ściany, Niemcy leżą nieruchomi. Twarze oświetla niesamowite słońce. Na twarzach pastwią się wśród krwi muchy. Światło koloru krwi kładzie się smugami na krwi prawdziwej. A tutaj, stoi krzyż ze swastyką. Leży pod krzyżem człowiek nazwiskiem Struga. Polskie nazwisko. Był u nich.

Na drogach, jak z niesamowitego śniegu, wyłaniają się z kurzu wciąż nowe i nowe kolumny. Zapada noc. Radjo podaje, że "Dzieci Lwowskie" są już bardzo daleko od dzisiejszej, rannej pozycji wyjściowej. Czwartacy również. "Krechowiacy" są w pościgu. Jutro musi być Ankona. Późnym wieczorem tego dnia słuchałem stacji niemieckiej "Wanda". Nic o tem nie wspominała. Była czuła, i bardzo żałowała żołnierzy Polskiego Korpusu "który nierozsądnie czyni" walcząc z Niemcami. Pomyślałem wtedy o walce o nasze dusze. Rosjanie są niezadowoleni, że nie walczymy pod biegunem. "Wanda" płaczliwie prosi abyśmy "nie przelewali krwi" we Włoszech. A my nikogo o nic nie prosimy; walczymy, umieramy, zwyciężamy.

Czołg z wielu powodów, przypomina swoim życiem i wyglądem potworną trumnę. Idzie po lasach i górach, ludzie wewnątrz nie słyszą huku pocisków dokoła. Śmierć przychodzi do nich znienacka. Nie tak jak w innych broniach gdzie przedtem jest gwizd i dopiero się kończy wojna. Czołg jest potworowaty i niezgrabny. Ale przekonałem się podczas krwawego marszu potworowatych istot do Ankony, że... nie szaty zdobią broń. "Mrówki" jak pieszczotliwi pancerniacy nazywają piechotę — bardzo te potwory kochają. Mrówki wiedzą, że żelazny smok na każdym kroku ułatwia im jakże niełatwe życie.

Dziś jest siedemnasty lipca. Zobaczymy, myślę, że jutro uda mi się już pojechać do Ankony... Ostatnio, na każdym kroku mówię: jeżeli Pan Bóg pozwoli. Więc jeżeli pozwoli — napiszę znowu o Ankonie.

Tak dużo nad głową mam pod temi oliwkami gwiazd. Spina je piękna Mleczna droga. The Milky Way — jak mówi zapewne w tej chwili w Neapolu Li. Ona patrzy na te gwiazdy tam, ja tutaj. Myślimy jednak o tem mem. **Żeby się już skończyła** ta Ankona, to całe obecne życie dzięki któremu **jutro Ankona** powinna być zajęta. Można absurdalnie powiedzieć: Niema tego złego coby na dobre nie wyszło.



Żołnierz Polskiej Armji Podziemnej

Polska Armja Podziemna pisze w tej chwili jedną z najbardziej bohaterskich kart w dziejach Polski, walcząc znów samotnie na tych samych ulicach Warszawy, które jak we wrześniu 1939 dziś znów awjacja niemiecka i niemieckie armaty zamieniają w słup ognia i kupę gruzów. Od dwu tygodni podziemne wojsko generała Bora a z nią wszyscy mieszkańcy Warszawy dokonują cudów odwagi i poświęcenia, opierając się potężnej, wspaniale wyekwipowanej armji; do tej chwili mimo tragicznej nierówności sił trwa bohaterski opór Polaków, raz po raz przechodzących do ataku i odbijających utracone pozycje. Po pięciu latach wojny, która wydała tylu bohaterów i męczenników — Warszawa utwierdza tragicznie i wspaniale swoje pierwszeństwo w męczeństwie i bohaterstwie, jak we wrześniu 1939 staje się sumieniem i wyrzutem świata, jak wtedy nieugięta i samotna woła o wolność, całość i niepodległość Polski.

WAWRZYNIEC CZEREŚNIEWSKI

LIST Z EDYNBURGA

Korespondencja własna "Tygodnika Polskiego"

Pod koniec czerwca 1940 roku — przybyli Polacy do Szkocji. Wyewakuowane z Francji jednostki wojska uzyskały miejsca postoju pod namiotami, między Edinburgh i Glasgow. Były to czasy francuskiej klęski, i zaraz potem następującej zwycięskiej Battle of Britain, w której lotnictwo polskie wzięło tak wydatny udział. W takich nastrojach żołnierz polski poznawał Szkocję. Dusząc w sobie truciznę upadku Francji, wytężając słuch co dnia na rezultaty rozgrywającej się Battle of Britain — oglądał na przepustce po raz pierwszy największe miasta gościnnego kraju.

Zwolna poznał Szkocję, przyjrzał się Edinburghowi — jednemu z najpiękniejszych miast świata. Przylegającemu do zatoki morskiej limanu rzeki Forth, opartemu o pasmo górskie Pentlandów, rozrzuconemu jak Lwów — na wzgórzach latem zielonych, a jesienią niosących tęczę kolorów.

Edinburgh, tak nazwany od Edwina, króla Północnej Anglji i Południowej Szkocji, liczy osiem stuleci historji. Każdy kamień Starego Miasta, zwanego The Royal Mile, opowiada o przeszłości.

Dla żołnierza polskiego Szkocja i Edinburgh stały się drugim domem. Dużo wspomnień pozostawia czterolecie, zwłaszcza czterolecie przyjaznej gościny, zrozumienia i serca.

Gdy w numerze 14 "Tygodnika Polskiego" przeczytałem, że w wersji pisma rozmówczyniami Arcybiskupa Godfreya były Szkotki — żachnąłem się wewnętrznie. Nie tylko dlatego, że byłem przy tem przypadkowo obecny. Obie panie są żonami lotników polskich — Angielkami, przebywającemi na kuracji w Polskim Szpitalu imienia Paderewskiego. Żołnierz polski po czterech latach pobytu w Szkocji — wie, że Szkocja i Anglja to są dwa kraje, zamieszkałe przez dwa narody, mówiące jednym angielskim językiem.

Żołnierz polski, ten, który skorzystał z pobytu w Szkocji — nigdy nie powie na Szkocję Anglja, nie nazwie Szkota Anglikiem. Odpowiada to rzeczywistości, a i Szkoci przyjmują to z zadowoleniem, płynącem z potwierdzenia odrębności, składających się na jedno pojęcie wspólne — Wielką Brytanję.

W minione Zielone Świątki — na wycieczkę w Pentlandy wybrało się towarzystwo: trzy piękne dziewczyny, matka siwiejąca, lecz o energicznych ruchach, oraz młody człowiek w mundurze khaki z naszywkami "Poland" na ramionach. Był to może student Polskiego Wydziału Lekarskiego przy Uniwersytecie w Edinburgh. Młodzieniec, jak przystało na mężczyznę — dźwigał pod stromą górę plecak, wyładowany prowiantami. Prawopodobnie — chłopiec za to dźwiganie zainkasuje sobie honorarjum w naturze. I nic w tem dziwnego — małżeństw szkocko-polskich jest do tej pory ponad 1500, i mniej więcej tylu zarejestrowano przyszłych obrońców Polski — Szkotów po kądzieli.

Mundur z naszywkami "Poland" w Edinburgh — pojawia się wszędzie. Na dworcach kolejowych i autobusach, w kinach, teatrach, parkach, muzeach, kościołach, resturacjach, kantynach.

Już corocznie biorą udział delegacje polskich jednostek w tygodniu oszczędności, odbywanym na terenie Edinburgha, przy współudziale między innemi polskich orkiestr wojskowych i kompanji honorowych. W tym roku, podczas Salute the Soldier — Dowódca Jednostek Wojska w Wielkiej Brytanji gen. Janusz Głuchowski przekazał uzbieraną na ten cel wśród żołnierzy polskich sumę 500 funtów. Był to zaledwie doraźny przykład przyjaźni szkocko-polskiej, utwierdzony zdjęciami i notatkami na łamach prasy miejscowej.

Na uniwersytecie Edynburskim uczy się pewna grupa studentów - Polaków. Są to studenci autonomicznego Wydziału Lekarskiego — dziekan prof. Antoni Jurasz, Wydziału Weterynarji — dziekan prof. Runge. Studjuje też pewna grupa nauczycieli, będących żołnierzami w czynnej służbie. Ci nauczyciele Polacy — pogłębiają swą wiedzę pedagogiczną na stołecznej wszechnicy szkockiej.

Działa w Edinburgh, jako jedno z najbardziej czynnych i ożywionych 51 Towarzystw — Towarzystwo Szkocko-Polskie, które pospołu z The British Council — urządziło i prowadzi Dom Szkocko-Polski przy Greenhill Gardens, oraz Ognisko Szkocko-Polskie przy Castle Street. Są to miejsca towarzyskich spotkań Polaków i Szkotów. Tam odbywają się odczyty i pokazy, rodzą się imprezy i wystawy. W Domu Szkocko-Polskim, regularnie co poniedziałek prowadzone są zebrania dyskusyjne na temat poprawy charakteru narodowego Polaka. Dyskusje te są kontynuacją zebrań krakowskiego koła dyskuyjnego "Krąg".

W Domu Szkocko-Polskim miała miejsce niedawno piękna uroczystość. Mianowicie: grono polskich uczniów emerytowanej nauczycielki Miss Robertson — urządziło małą party w 79 rocznicę urodzin Miss Robertson. Staruszka, od pierwszych chwil naszego pobytu tutaj w Szkocji — pomaga nieprzerwanie Polakom w nauce języka angielskiego, równocześnie — jest jedną z najbardziej aktywnych osób, działających na rzecz pomocy Polsce powojennej.

Żołnierz ma w Edinburgh swój Dom żołnierza, gdzie przebywający na urlopie lub na przepustce mogą się zatrzymać na nocleg, posilić się, lub skorzystać z czytelni pism. Kierowniczką domu jest pani Patrycja Beau cham Washington, Angielka o francuskiem nazwisku, której mąż jest Amerykaninem. Jednym z najwybitniejszych opiekunów Domu żołnierza polskiego w Edinburgh jest — jak mówią żołnierze "Pan Lord" — Lord Mansfield, gorący orędownik i przyjaciel Polski, który w częstych rozmowach z żołnierzami nabył sporej umiejętności we władaniu językiem polskim.

Nie wszystkim zapewne jest wiadome, że stolica Szkocji jest od paru lat siedzibą jednego z dwu teatrów polowych w Wielkiej Brytanji, a mianowicie Wojskowej Czołówki Teatralnej "Lwowska Fala", wywodzącej się z przedwojennej Wesołej Lwowskiej Fali Polskiego Radja, rozszerzonej o zespół nowych aktorów.

Kierownikiem Fali jest po staremu Wiktor Budzyński, są niezmiennie od najdawniejszych lat "Szczepko i Tońko" — Henryk Vogelfaenger i Kazimierz Wajda, panie: Mira Grelichowska z Warszawy i Włada Majewska, ze Lwowa. A ponadto w zespole widzimy: Bojczuka, Hausmana, Galińskiego, Wincentego Rapackiego, Wieszczka, Wasiuczyńskiego. "Lwowska Fala" płynie naprzód. Od marca roku bieżącego objeżdża miejsca postoju oddziałów wojska, marynarki i lotnictwa po całej Wielkiej Brytanji z programem "Piąty front", nie przypuszczając zapewne, że w czerwcu generalnie ruszy się u wybrzeży Europy — front wolności.

"Fala" czuje się w Edinburgh dobrze. Być może — wpływa na to podobieństwo Edinburgha do Lwowa, w rejonie Dean Parku wręcz uderzające.

Z dużą dokładnością można stwierdzić, że najbardziej polską dzielnicą ślicznego Edinburgha jest Bruntsfield. Są tu zielone błonia z perspektwą na Zamek, uniesiony na skale, wysoko w górze. Wokoło dzielnicy domy monotonne z epoki Wiktorjańskiej.

W tej to dzielnicy, obok siebie sąsiaduje redakcja tygodnika "Co słychać", będącego niczem innem, jak ciekawie i niezależnie redagowanym "Polish Digest", oraz Klub Inwalidzki, gdzie niejaki pan Zdzisław, inwalida, przed wojną urzędnik pocztowy we Lwowie, doszedł do wybitnych osiągnięć w zakresie sztuki kulinarnej, i prowadzi gospodę, w której można zjeść po polsku. Naprzykład— co piątek... pierożki.

Obraz polskiego Edinburgh nie byłby pełny, jeślibyśmy nie zanotowali, że w tem uroczem mieście Szkocji — mieszka pani Marszałkowa Piłsudska z córką Wandą, studjującą medycynę na tutejszym Wydziale Lekarskim.

Najmłodszy brat Marszałka, p. Jan Piłsudski, po wydobyciu się z rosyjskiego więzienia — również zamieszkał po przyjeździe do Wielkiej Brytanji w Edinburgh. Jedna z popołudniówek stołecznych "Edinburgh Evening News" zamieściły przy tej sposobności specjalny artykuł na temat pobytu w stolicy Szkocji brata Wielkiego Marszałka Polski.

Cztery lata pobytu w uroczem mieście Edinburgh, cztery lata pobytu w Szkocji...

Leży przed żołnierzem polskim dalsza droga, ta zarazem najdłuższa, najserdeczniejsza: do kraju.

W jakie strony wojenne los rzuci, zanim stopa dotknie rodzinnej skiby, która jest jedną jedyną na świecie— zawsze wspominać będziemy Edinburgh, uroczą, malowniczą stolicę Szkocji. Miasto, jedno z najpiękniejszych na świecie, bliskie już nam na zawsze, a tak jakoś dziwnie podobne do Lwowa.

KTO CHCE ABY
"TYGODNIK POLSKI"
NIE MIAŁ TRUDNOŚCI
I DALEJ SIĘ ROZWIJAŁ
NIECH ZJEDNUJE MU
N O W Y C H
PRENUMERATORÓW
GDYBY KAŻDY CZYTELNIK
"TYGODNIKA"
ZDOBYŁ JEDNEGO
NOWEGO.
WÓWCZAS
"TYGODNIK POLSKI"
MIAŁBY BYT
ZAPEWNIONY

ADAM MAJCHRZYCKI

WIEZIEMY AMUNICJĘ NA FRONT

Korespondencja własna "Tygodnika Polskiego"

Na froncie we Włoszech.

Praca kompanji zaopatrywania nie jest ani tak lekka, ani też tak bezpieczna, jakby się to mogło laikowi — przyzwyczajonemu do określania tej służby kategorjami dawnych taborów — zdawać. Przeciwnie, jest ona ciężka i niebezpieczna; wymaga nieraz ogromnego wysiłku fizycznego, męstwa, hartu ducha i opanowania nerwów. Do najcięższych i najniebezpieczniejszych zadań oddziałów zaopatrywania należy zaopatrywanie oddziałów na froncie w amunicję. żeby sobie wrobić należyte pojęcie o tej pracy, trzebaby samemu wziąć choć raz udział w jednym z takich transportów. Może najlepiej zilustruje to opis jednej — z bardzo wielu— takiej "wyprawy".

o o o

Pada ulewny deszcz. Kąpiąc się w strugach wody i błocie, klnąc na czym świat stoi "słoneczną Italję" — ładują żołnierze z "taborów" amunicję artyleryjską, na jednej ze składnic amunicyjnych. Ciężkie skrzynki z amunicją śmigają jedna za drugą na samochody. Praca jednak idzie opornie, bo wozy raz po raz grzęzną w rozmiękłej ziemi. Sekcyjni gonią tam i z powrotem, obłoceni do kolan i przemoczeni do nitki, kierując wyciąganiem i wyprowadzaniem wozów na drogę. Stopniowo wóz za wozem wyjeżdża i udaje się na miejsce wyznaczone, skąd w nocy cała kolumna wyruszy. Tymczasem deszcz przestał padać.

Zapada ciemna, pochmurna noc. Wśród nieprzeniknionej ciemności kolumna rusza. Sznur wozów sunie bez świateł drogą wijącą się wśród gór, biegnącą brzegiem przepaści; przejeżdża jakieś mostki, serpentyny; wlecze się wolno, "noga za nogą". Wreszcie, po minięciu żlebu górskiego, zaczyna zsuwać się w dół; teraz już znajduje się pod obserwacją nieprzyjaciela, narażony na ogień jego artylerji. Z dala widać odbłyski wystrzałów armatnich. Krwawe korale pocisków, przebiegających w różnych kierunkach czarny pułap nieba, fontannami ognia rozrywających się na ziemi. Konwój mija szczęśliwie miasteczko S. Pietro, przedstawiające jedno wielkie rumowisko. Za miasteczkiem droga zwęża się i biegnie wśród gajów oliwnych. Tak ciemno że zaledwie z trudem rozpoznać ją można. Jedzie się na t. zw. "wyczucie", lecz, chociaż odległość między wozami jest bardzo mała, kierowcy z trudem zaledwie rozpoznają kontury, jadącego przed nimi samochodu; a do tego droga to niespodziewanie się wspina w górę, to znowu gwałtownie spada w dół. Trzeba dużo prztomności umysłu i szybkiej orientacji, by w takich warunkach nie spowodować katastrofy. Znowu ruiny miasteczka S. Vittore. Gąsienica wozów wlecze się dalej; czas dłuży się nieznośnie. Coraz lepiej widać rozrywające się pociski, coraz wyraźniej słychać huk eksplozji i wystrzałów armatnich.— Niejednemu zaczynają niemiłe dreszczyki chodzić po plecach, lecz każdy udaje bohatera, jak najstaranniej maskując strach. Wtem z gęstej czerni wyłaniają się ruiny domów. To Cervaro; niedawno jeszcze miasteczko, obecnie kupy gruzów, z których sterczą strzępy murów, niby wyciągnięte ramiona, wzwające niemym błaganiem Niebiosa o sprawiedliwą karę dla sprawcy tej strasznej burzy dziejowej. Gdzieś, po drugiej stronie miasteczka padają pociski.

Samochody zatrzymują się; tu już czekają piloci, którzy mają zaprowadzić konwój na pozycje, droga jeszcze gorsza; wąziutka, że wąż zaledwie jest w stanie na niej się zmieścić; pełna bardzo stromych, prawie prostopadłych zjazdów i wyjazdów. Co chwilę wozy zatrzymują się; wtedy z większą siłą występuje grzmot dział i huk wybuchających podal pocisków, głuszony poprzednio warkotem motorów. Na ogół kierowcy nie lubią tych przymusowych postojów; wolą jazdę absorbującą ich uwagę, zwłaszcza że poprzez stukot i szum silnika z trudem przenika groźna smfonja wojny.

Na koniec ostatni postój — stanowiska artylerji. Teraz już wozy pojedyńczo zjeżdżają z drogi, by wśród drzew, poprzez jamy i nierówności, grzebiąc się w błocie, dotrzeć do stanowisk poszczególnych baterji. Szybko i sprawnie, w nieprzeniknionej ciemności, odbywa się wyładowanie amunicji. Nieprzyjaciel tuż, tuż... Niemal odczuwa się jego bliskość.

Po wyładowaniu ściągają się wozy na drogę, gdzie stają w kolumnie marszowej. Wkrótce ruszą w drogę powrotną. Zaczyna mżyć deszczyk, — lecz czyż może on się równać z ulewą [illegible] w, padających tak nieprzyzwoicie blisko?

Następuje "odwrót". Deszcz pada i pada. Rozmokła droga szczerniała, zlewając się z otaczającym tłem. Kolumna posuwa się bardzo wolno, zatrzymując się często przed niewidzialnymi przeszkodami. Denerwuje to coraz więcej kierowców, którzy chcieliby jak najprędzej wydostać się z tych niezbyt przyjemnych terenów.

Tymczasem, jeden z ostatnich wozów kolumny, mijając jakiś samochód, wiszący pzednimi kołami nad przepaścią, wjechał w rów przydrożny i jednym bokiem przywarł do wysokiej skarpy. Następna maszyna prześlizguje się dosłownie między tymi samochodami, pilotowana z błotnika przez jadącego w niej sekcyjnego.— [illegible]ępują próby wyciągnięcia z rowu samochodu — (bo tamtemu wiszącemu nad przepaścią nic pomóc nie można). Lecz wszystko napróżno; szarpany łańcuchem samochód stoi, jak wrośnięty w ziemi: Musi się go zostawić na los szczęścia; może nadejdzie dźwig ratowniczy.

Trzeba jechać dalej, lecz dokąd? Nikt nie wie. Kolumna już dawno odjechała, nikt nie zna drogi, a spytać się nie ma kogo. Zaczyna się podróż w nieznane, na los szczęścia, z niemiłą perspektywą zmylenia drogi i zajechania do 'tedesci". Sekcyjny, stojąc na błotniku, dyryguje: "w prawo, w lewo, jeszcze bardziej w lewo, prosto itd.", a tu jak na złość uparta maszyna nie chce dość szybko zmieniać kierunku przy tak wolnej jeździe, zbliżając się niebezpiecznie blisko raz do przepaści, czającej się po jednej stronie drogi, to znowu do rowu i skarpy, po drugiej. Rozwidlenie dróg: którą z nich wybrać? Rozstrzyga sekcyjny wybierając drogę, biegnącą bardziej w kierunku jazdy. Niebawem okazało się, że wybór był trafny, bo już po kilkunastu minutach ukazały się ruiny Cervaro. Na skraju tego miasteczka droga zatarasowana przez jakieś samochody. Okazuje się, że kierowcy oczekują świtu, obawiając się jechać w takiej ciemności. Wybór miejsca na postój fatalny; jest widoczne od strony nieprzyjaciela i może być każdej chwili ostrzelane. Nie można pozostawać tutaj dłużej. Sekcyjny idzie na "rozpoznanie" i na szczęście, w odległości około 100 kroków na skrzyżowaniu ulic znajduje polskiego regulatora ruchu "R. R", który szczegółowo objaśnia mu trasę. Decyduje się natychmiast jechać dalej. Wraca do wozów, lecz jak je tu przeprowadzć przez zatarasowanąi drogę. Zaczyna się skomplikowane "szybowanie" samochodów. Wreszcie droga jest wolna. Ponieważ jest to zaledwie dróżka, a nie droga, tylko pojedyńczo można prowadzić wozy do skrzyżowania u-

lic. Nie koniec jeszcze przykrych niespodzianek. Pierwszy samochód rusza, sunie wolno. Nagle trzask, wóz pochyla się na lewo, sekcyjny krzyczy "stop" a kierowca momentalnie hamuje. Niestety! Już przednie koło wpadło w jakiś lej, czy jamę, a samochód siadł na przedniej osi. Nie ma mowy o wyciągnięciu go własnymi siłami i trzeba go zostawić. I tak szczęśliwy finał tego wypadku, który mógł o wiele tragiczniej się skończyć. Nauczony smutnym doświadczeniem, sekcyjny zmienia system; następne wozy prowadzi, idąc tuż przed samochodem i wiewając białą chusteczką. — Wkrótce wszystkie znalazły się na szosie, wskazanej przez R. R. Biegnie ona w kierunku stanowisk niemieckich i w odległości prawie 2 km. od nich wychodzi na szosę asfaltową Cassino-Neapol. Niezbyt wesoła perspektywa przkradania się tuż "pod nosem" nieprzyjaciela.

Zaczyna się przejaśniać. Silny zimny wiatr siecze deszczem. Samochody ruszają, utrzymując między sobą duże odległości; jadą nieco szybciej, gdyż pozwala na to stosunkowo szeroka droga, coraz lepiej widoczna w sinym świetle powstającego dnia. Już przeszły dwie trzecie drogi. Wtem na kolanie ostrego zakrętu, kilka metrów przed pierwszym wozem — wytryskuje słup ognia, piasku i ziemi; huk wstrząsa powietrzem. Kierowca, oszołomiony hukiem, oślepiony blaskiem, zatrzymuje samochód i chroni się w rowie przydrożnym. Zaczyna padać coraz więcej pocisków. Następne jednak samochody nie zatrzymują się, lecz — mijając stojący wóz — pędzą dalej, by jak najszybciej wydostać się z pod morderczego ognia. Niezupełnie się to udaje. Ostatni nieszczęśliwie wjeżdża w lej, podskakuje na nim, jednocześnie z tyłu wybucha pocisk, spychając go swym podmuchem z drogi. Kierowca wyskakuje i chroni się w rowie. Po chwili ogień ustaje. Kierowcy wychodzą z ukrycia i oglądają wozy. O dziwo! są zupełnie nieuszkodzone, prócz wybitej w jednym z nich szyby. Próbują gaz; działa. Ruszają z miejsca; jadą. Już bez przeszkód docierają do obozu swej kompanii. Jest godzina 6.00. Brak jeszcze dwóch wozów; tego co ugrzązł w rowie i tego, co pozostał w Cervaro. Lecz i one wkrótce nadciągnęły. — Wszyscy wrócili; ludzie zdrowi, sprzęt nieuszkodzony.

Tak, szczęśliwie zakończyła się ta "wyprawa". Kierowcy mają nowy temat do opowiadania, które później stanie się jednym z fragmentów wielkiej epopei żołnierza-tułacza, co w krwawym trudzie, drogą pełną niebezpieczeństw i przygód, wędrował przez dalekie krainy, do swej ukochanej, wytęsknionej Ojczyzny.

OPINJE I ZDARZENIA

Wspaniałe zwycięstwo we Francji, rozgrom armji niemieckiej, zapowiadające najrychlejsze już uwolnienie Paryża, zwycięski pochód Aljantów przez Włochy, coraz nowe sukcesy wciąż prących naprzód wojsk sowieckich — oznaczają, że stoimy wobec zupełnego już zwycięstwa i w przededniu końca wojny.

Los Polski decyduje się w tej chwili i wszyscy jasno już wiemy, że po pięciu latach nieustannej walki, jawnej i podziemnej, pełnej poświęcenia lojalności sojuszniczej, po czynach świetności wojennej i bohaterstwa, stanowiących najpiękniejsze karty tej wojny — grozi Polsce los narodu pobitego, któremu dyktuje się haniebne warunki poddania, wydziera ziemię i pozbawia go istotnej niepodległości.

Mimo iż w tej chwili — gasną zdawałoby się wszelkie światła na horyzoncie naszej przyszłości, mimo, że znak najgroźniejszy, zaczyna coraz jawniej występować, coraz głośniej przemawiać, polska słabość, wierząca że można coś trwałego zbudować na słabości— mimo, że doprawdy w tej właśnie chwili zdawałoby się "sama odwaga załamuję ręce" — nie wierzymy, nie możemy wierzyć aby niesprawiedliwość tak krzycząca, bogwałcenie tak jawne wszystkich zasad, w imię których podniosły oręż Narody Zjednoczone — mogły się dokonać, aby Polska zwycięska — mogła być zmuszona do poddania.

Nie nastąpi ono nigdy, nie będzie ani faktem ani prawem jeśli nie przystaną nań sami Polacy i dlatego mimo niepojętego biegu ostatnich wypadków — wierzymy iż podpis polski czy choćby wykrętna polska zgoda odmówione zostaną wszystkim haniebnym propozycjom, które nie są żadnemi warunkami porozumienia Polski z Rosją, ale paragrafami kapitulacji, kopiącej na wieki przepaść między obu narodami, zapowiadającej nowe wstrząsy i nieuchronną nową wojnę.

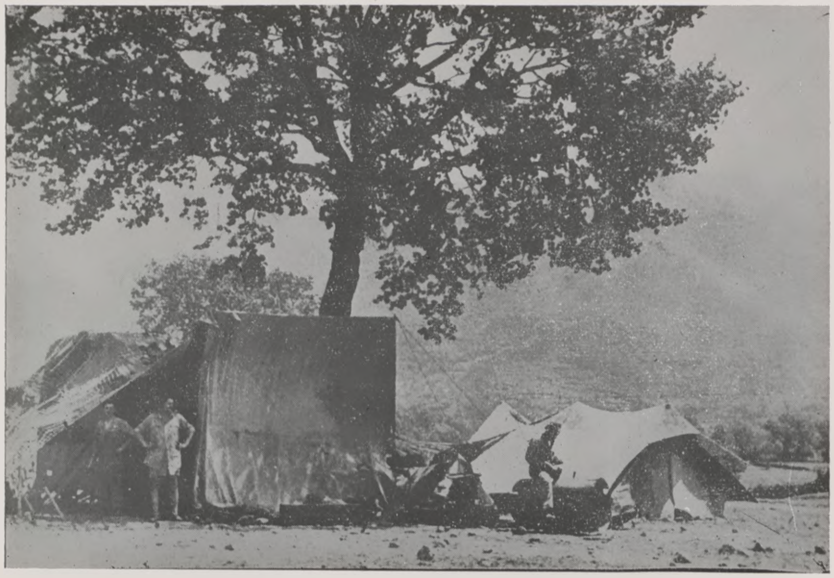
Zimna krew jest to najsłuszniejsze na tę chwilę dla nas zalecenie. I właśnie z całą zimną krwią musimy uświadomić sobie, że chodzi tu o być albo nie być naszego narodu, że mamy prawa doskonałe, prawa współzwycięzców, których nikt nam wydrzeć nie może i że poddać się, mając te prawa byłoby nie poczuciem rzeczywistości ale właśnie szaleństwem.



ŚP. ADOLF BOCHEŃSKI

doskonały pisarz zginął bohaterską śmiercią pod Ankoną

W numerze 31 "Tygodnika Polskiego pomieściliśmy piękne wspomnienie pośmięcone zmarłemu przez jego kolegę Jana Erdmana



Obóz Polski we Włoszech

NOWY POETA

Autor bardzo pięknych poezji, które dziś zamieszczamy, Józef Miłobędzki, jest porucznikiem marynarki polskiej Ma lat dwadzieścia dwa.

"MODLITWA NA GOLGOCIE"

Piękny wiersz "Modlitwa na Golgocie", zamieszczamy za "Orłem łym", organem naszego Drugiego Korpusu.

DYWIZJA MACZKA

Po długim okresie ćwiczeń i wdrażania się w trudną służbę — dywizja zmatoryzowana generała Maczka, stacjonowana dotąd w Anglji weszła do boju i bierze udział w oswobodzicielskim marszu Aljantów przez Francję. W tej chwili więc całe już wojsko polskie jest na froncie — Armja Podziemna generała Bora walczy na ulicach Warszawy, Drugi Korpus znaczy coraz to nowemi świetnemi czynami swój udział w kampanji włoskiej wreszcie generał Maczek prowadzi swoją wspaniale w najnowocześniejszy sprzęt wojenny zaopatrzoną dywizję przez pola tej samej Francji, gdzie w czerwcu 1940 tak nieulękle już raz walczyli jego żołnierze. Generał Maczek jest jednym z najdzielniejszych wodzów polskich, jednym z najbardziej fachowych, najbliższych też żołnierskiemu sercu, wyczuwającemu w tym zapalonym dla swej broni dowódcy — prawdziwego żołnierza. Było niezbędne ze wszystkich wojskowych i politycznych względów aby wojsko polskie pojawiło się na polach Francji —aby nie zabrakło go tam w tej chwili, aby Francja przypomniała sobie, że Polacy są zawsze przy jej boku — jak byli i trwali do końca wśród powszechnego upadku francuskiego ducha w 1940 — Jesteśmy pewni że generał Maczek stanie się jednym z tych wodzów, o których wszyscy będą mówić we Francji, jak wszyscy we Włoszech mówią o generale Andersie i że jego żołnierze staną się najlepszemi towarzyszami francuskiej broni i tak zasłużą na uznanie niebywałego Montgomeryego jak nasz Drugi Korpus oceniony był przez wodzów kompanji włoskiej

KSIĄŻKA KARSKIEGO

Już jest ukończona, przetłumaczone, lada miesiąc wyjdzie z druku książka Jana Karskiego o Polsce Podziemnej, najobszerniejszy jaki dotąd ukazał się w Ameryce djarjusz działań podziemnego ruchu w Europie, spisany przez jednego z najbardziej czynnych i najbardziej doświadczonych jego uczestników. Mamy o tej książce entuzjastyczne zdanie najbardziej kompetentnych Amerykanów, którzy przepowiadają jej rekordowy sukces sezonu i którzy nie mają dość słów uznania dla precyzji w przedstawieniu przez Karskiego jego przeżyć jak też dość słów podziwu dla treści książki, którą są myśli i czyny Polski Podziemnej.

Niecierpliwie czekamy na tę książkę.

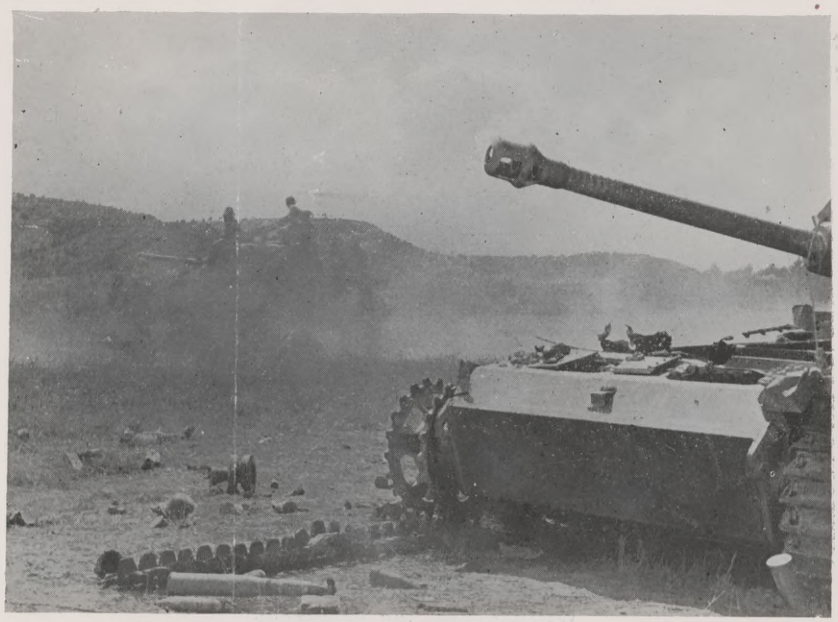
PROF. ANDRZEJ TRETIAK ROZSTRZELANY JAKO ZAKŁADNIK

Wśród profesorów rozstrzelanych w Warszawie przez Niemców jako zakładnicy — a z których czterech zostało zidentyfikowanych był też profesor Andrzej Tretiak, doskonały anglista, jeden z rzadkich specjalistów polskich w tej dziedzinie i niewątpliwie obok prof Romana Dyboskiego— najświetniejszy. Syn znakomitego biografa i krytyka Słowackiego, wielskiego i śmiałego Józefa Tretiaka. Prof. Andrze Tretiak wniósł do swego studjum — zarówno świetną naukową metodę jk też prawdziwe umiłowanie literatury, jej subtelne wyczucie, które sprawiło że jego uczniowie stawali się za jego przykładem nietylko znawcami ale pełnymi intuicji entuzjastami wielkiego piśmiennictwa angielskiego. Śmierć jego bohaterska jest stratą prawdziwą dla polskiej nauki i polskiej literatury.

SOWICKI RANNY

Jak dowiadujemy się, w czasie ostatnich walk we Włoszech ranny został — Tadeusz Sowicki, malarz i poeta, którego piękne wiersze, natchnione przez włoską kampanję — "Tygodnik Polski" parokrotnie przedrukowywał z "Białego Orła".

Sowicki ranny jest w prawą rękę i wszyscy, którzy znają jego wielki talent malarza-dekoratora (Sowicki bł uczniem warszawskich uczelni artystycznych) głęboko są tem zatroskani. Do ich życzeń, aby rana zagoiła się jaknajprędzej i bez śladu "Tygodnik Polski" dołącza najlepsze życzenia wszystkich poetów kolegów Sowickiego.



Polska broń we Włoszech

FEDERACJA — ZBRODNIĄ

Aż do Nowego Yorku przedostały się wzburzone echa, wystawy w Rzymie, na której nasi żołnierze Drugiego Korpusu pokazali mapę federacji środkowo europejskiej, jako politycznego planu polskiego.

Nie widzieliśmy tej mapy i nie wiemy co mogło w niej tak zdenerwować ludzi, którzy uważając Rosję za niepokonaną potęgę—jednocześnie wciąż węszą śmiertelne dla niej niebezpieczeństwo. Chcemy tylko przypomnieć że do niedawna Federacja Środkowo Europejska była oficjalnym jawnym programem Polski, Jugosławji, Czechosłowacji i Grecji, i że w Nowym Yorku dosyć leniwie coprawda ale pod wysokiemi protektoratami pracował specjalny Board — przy współudziale przedstawicieli czterech rządów.

Jego prezesem był (słuchajcie, słuchajcie!) nie mniej ni więcej tylko minister Sava Kosanowicz, obecnie minister spraw wewnętrznych w prorosyjskim rządzie Subasicza, delegatem Czechosłowacji (słuchajcie, słuchajcie!) p. Jan Masaryk, Polski zaś (słuchajcie! słuchajcie) p. Jan Stańczyk

Dlaczego więc to, co było ideałem prosowieckich ministrów, ma być poczytywane za zbrodnię polskim żołnierzom. I zdecydujmy się wreszcie, czy Rosja jest wszechpotężna czy wciąż zagrożone.

PROSIMY ODNOWIĆ PRENUMERATĘ



WSPANIAŁY FILM

"WILSON"

idzie codziennie z wielkiem powodzeniem w teatrze Roxy przy 7 Avenue i 50 ulicy w New Yorku. Jest to nietylko jedno z arcydzieł sztuki filmowej, jeden z najświetniejszych filmów kolorowych, jakie kiedykolwiek dane nam było oglądać. Jest to ponadto film niezwykłego znaczenia dla Polaków zwłaszcza którzy mogą oglądać prezydenta Wilsona, tak zasłużonego dla wskrzeszenia Polski.